

Mój Kazachstan - wspomnienia

Autorka: Maria Musiał

Trudna decyzja

Czekałam na wyjazd na Wschód. Nie byłam tylko pewna, czy dostanę w ogóle skierowanie i gdzie. Przeszłam rekrutację w Centralnym Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Warszawie. Bardzo chciałam wyjechać, bo byłam na takim etapie życia, że zdecydowałam się na radykalną zmianę.

Pewnego letniego dnia telefon zadzwonił – CODN.

– Mamy dla pani propozycję wyjazdu. Kazachstan. Znieruchomiałam. Kazachstan! Przecież to koniec świata!

– Halo! Czy mnie pani słyszy?

– Ile mam czasu na zastanowienie się?

– Do jutra

W głowie zaczęła się gonitwa myśli. Wreszcie wyklarowała się jedna z nich: przecież to jedyna okazja, żeby zobaczyć to miejsce na ziemi, o którym nic prawie nie wiem. Czytałam kiedyś wspomnienia Jerzego Krzysztonia, który gdzieś nad Iszymem spędzał swoje wojenne dzieciństwo. Pamiętałam nazwę rzeki, do której wskoczył razem z kolegami, kiedy paliły się wysokie trawy stepu. To był Iszym. A więc zobaczę te krajobrazy na własne oczy! Niewiarygodne!

Zacząłam szukać w Internecie jakichkolwiek wiadomości o Pierwomajce – miejscu mojego skierowania. Niewiele tego było. Dowiedziałam się tylko, że to wioska rzucona gdzieś w stepy

100 km od stolicy, Astany. Przeczytałam, że mieszkają tam potomkowie Polaków skazanych na wygnanie przez stalinowski reżim.

Oczami wyobraźni widziałam już bezkresny step pokryty wysokimi trawami kołyszącymi się malowniczo na wietrze.

Zapadła decyzja, której już nie mogły zmienić rozsądne i zatroskane głosy znajomych, patrzących na mnie, jakbym postradała zmysły. Pojechałam!

Spotkanie z Kazachstanem

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu, a raczej wylotu. Poleciałam z siedmioosobową grupą nauczycieli. Pomimo zmęczenia długim lotem, dobry nastrój mnie nie opuszczał.

Wschodziło słońce, kiedy samolot zniżał lot, zbliżając się do Astany. Zerkałam w dół i za gardło chwycił mnie nagle niespodziewany strach. Nie mogłam oderwać oczu: bezkresna, szara pustka poprzerzynana prostymi, jakby od linijki rysowanymi drogami, które przecinały się pod różnymi kątami. Mój Boże, gdzie ja się znalazłam! To jakiś księżycowy krajobraz! I po co mi to było?

Uspokoiliam się nieco po opuszczeniu pokładu samolotu, kiedy okazało się, że czeka na mnie sympatyczny młody człowiek, witający mnie całkiem ładną polszczyzną. Pojechałam z moim przewodnikiem do Pierwomajki.

Przyglądałam się mijanym krajobrazom. Płasko aż po horyzont, ani śladu drzew i jakiegokolwiek zieleni, a nad pożółkłą, szarą ziemią unosiły się całe chmury czarnego ptactwa kraczącego złowróźnie. Ogarnęło mnie otepiałające zmęczenie i zaczęłam drzemać.

Oprzytomniałam, gdy mój kierowca zatrzymał się na papierosa. Wysłałam i ja. Rozejrzałam się i zobaczyłam jakieś niskie chałupki, a między nimi na wpół uschnięte drzewa z resztkami żółtych liści, wyciągające gołe kikuty do nieba, jakby błagając o ratunek. Na widok tego ponurego krajobrazu ogarnęła mnie smutek.

– To już Pierwomajka – odezwał się mój przewodnik.

„Mój Boże, jak ja tu wytrwam rok!”, zakrzyczał we mnie jakiś rozpaczliwy głos.

Dojechalśmy do jednego z jednakowych skromnych domków otoczonego sztachetowym ogrodzeniem. Powitała mnie przy wejściu grupa kobiet mówiących trochę po polsku. Wśród nich była prezes tutejszego Stowarzyszenia Polaków rejonu astrachańskiego – pani Ludmiła. Wewnątrz zastawiony stół z butelką wódki na środku. Próbowałam coś zjeść, ale natrafiłam na opór organizmu.

Byłam niesamowicie zmęczona długim lotem i niewesołymi wrażeniami. Myślałam tylko o tym, by się położyć. Wreszcie miejscowi zostawili mnie samą i mogłam odetchnąć.

Po krótkim śnie rozejrzałam się po siedzibie stowarzyszenia Polskim Domu. Tu będę mieszkać i pracować. Jeden obszerny pokój z półkami książek, ogromną mapą Polski, komputerem i drukarką. Dwa mniejsze – jeden to moja sypialnia, drugi, klasa z białą tablicą i ławkami. Obejrzałam sobie kuchnię ze śmiesznymi meblami pomalowanymi na różowo i ogromną łazienkę z toaletą i wanną.

Chociaż wewnątrz zaniedbane, wszędzie panoszyły się rozpadające się meble – nie było źle. Łazienka cieszyła mnie niezmiernie, bo się jej nie spodziewałam. Nie trzeba więc będzie biegać gdzieś na podwórze do wychodka, na co byłam przygotowana. I chociaż nie było bieżącej wody, odetchnęłam z ulgą...

Pierwsze dni w Pierwomajce

Nadszedł wieczór. Pierwszy wieczór tysiące kilometrów od domu. Zapadła cisza – tak doskonała, że poczułam przysłowiowe dzwonięcie w uszach. Za oknem nieprzeniknione ciemności, nigdzie żywej duszy. Ogarnął mnie najprawdziwszy strach i uczucie straszliwej samotności.

Drżącymi palcami wystukałam SMS do syna: „Jestem sama i bardzo się boję”.

Za chwilę otrzymałam odpowiedź: „Przyzwyczaisz się”.

Jego słowa uratowały mnie od kompletnej paniki. Rzeczywiście, przyzwyczaję się. Nie jestem dzieckiem. Trzeba po prostu iść spać.

Następnego dnia poznałam panią Ninę. Bezzębna, pulchna staruszka mieszkała w sąsiedztwie Polskiego Domu. Była Polką i mówiła swobodnie po polsku. Siedziała na swoim „dywańczyku” przy drodze. Przywitała mnie serdecznym, trochę nieśmiałym uśmiechem i od pierwszego dnia stała się moją najlepszą przyjaciółką. Kochana pani Nina! Służyła mi pomocą w każdej sytuacji. Szczególnie ważne było to w pierwszych dniach pobytu w Pierwomajce. Od niej dowiadywałam się, gdzie mogę kupić coś do zjedzenia, co nie było prostą sprawą. W sklepie nie sprzedawano warzyw, nabiału, mięsa, bo każdy miał te artykuły w swoim gospodarstwie. Pani Nina dzieliła się ze mną, czym mogła, ostrzegała przed niebezpieczeństwem związanym z zawirowaniami pogodowymi, czekała na mnie pełna niepokoju, kiedy wyjeżdżałam do Astany. Słowem – traktowała mnie jak córkę.

Pierwszy dzień września przywitał nas już lekkim mrozem. Z samego rana podreptałam z panią Ludmiłą do szkoły, by wziąć udział w rozpoczęciu nowego roku szkolnego. Była to naprawdę wielka uroczystość – święto całej wsi. Z sentymentem obserwowałam młodsze dziewczynki z wielkimi kokardami na głowach – tak wyglądałam w dzieciństwie.

W szkole miałam okazję poznać miejscowego akima, oficjalnego przedstawiciela władzy, Wia-czysława Stanisławowicza Dębickiego, jak się później okazało – Polaka, jednego z nielicznych już akimów Polaków. Wkrótce mnie na szczęście odwiedził, bo sytuację miałam niewesołą. Nadcho-dziła zima wielkimi krokami, a ja nie mogłam rozpałić w piecu, bo ruszt był połamany, a wiszący na ścianie zbiornik na wodę przeżarła już rdza.

Nie działała uszkodzona pompa, wodę trzeba było więc nosić wiadrami z zagrody pani prezes oddalonej kilka domów od mojej siedziby. Nie było opału na zimę i jakichkolwiek pieniędzy. W tej sytuacji pomoc akima była nieoceniona. Na początek przyniósł mi od swych rodziców elektryczną dmuchawę, abym mogła choć nieco się ogrzać. Przysłał też dwóch robotników, którzy przynieśli i zawiesili nowy zbiornik nad piecem. Pomógł mi kupić i zamocować nowy ruszt. Teraz już mogłam rozpałić pod kuchnią i po mieszkaniu rozlało się błogie ciepło. Zrobiło się od niego jakoś lżej na duszy i powróciła nadzieja, że wszystko jakoś się ułoży i dożyję do wiosny.

Ale kłopoty jeszcze się nie kończyły. Niepokoiła mnie pustka wokół mnie i Polskiego Domu. Ja- dąc do Pierwomajki, byłam przekonana, że czekają tam niecierpliwie na mój przyjazd, jeżeli nawet nie tłumy, to przynajmniej spora gromadka stęsknionych rodaków. Tymczasem dni mijały, a nie pojawił się nawet pies z kulawą nogą.

Szybko dowiedziałam się, że przyjechałam w trudnym momencie w życiu tutejszego stowa-rzyszenia. Jego członkowie byli skłócen. Żeby lepiej zapoznać się ze sprawą pomaszerowałam do Łozowoje poznać poprzednią prezes – panią Batrakową. Odnalazłam ją z łatwością, bo była osobą znaną, a i wieś nie była zbyt duża. Obrażona i rozżalona opowiedziała o całym zdarzeniu. Cóż ja mogłam? Jedynie jej wysłuchać. Wyprawa nie była całkiem bezowocna, bo pani Batrakowa poznała mnie z dyrektorką szkoły w Łozowoje, panią Leonidą, Polką, która pokazała mi szkołę i umówiła na spotkanie z dziećmi. Od kilku już lat przychodzili tu nauczyciele z Pierwomajki i prowadzili nauczanie języka polskiego fakultatywnie. Z takim skierowaniem przyjechałam do Kazachstanu także i ja.

Zaczynałam więc pracę w szkole w Łozowoje. Postanowiłam zorientować się również, ilu uczniów w Pierwomajce jest zainteresowanych zajęciami w Polskim Domu. Okazało się, że ogrom-

na grupa dzieci chce przychodzić na lekcje polskiego. Nie pozostawało mi nic innego, jak zacząć działać.



Droga przez Pierwomajkę

Kościół

W niedzielę pomaszerowałam do kościoła katolickiego na mszę świętą. Trafiłam tam według wskazówek pani Niny, a może nawet z nią.

Kościół był marzeniem tych małych społeczności, które przez dziesiątki lat rządów komuny nie mogło się spełnić. Modlono się wówczas konspiracyjnie, w domach prywatnych. Oczywiście, o kapłanie nie było mowy. Docierał on czasami do wsi, zazwyczaj nocą. Wtedy jakimś sposobem dawano sobie znać i w pośpiechu przybywano do wskazanej chaty. Spowiadano się, chrzczono, kapłan udzielał ślubów, przystępowano do komunii świętej. Rano ksiądz zniknął, bywało że zabierany przez NKWD. Byli tacy księża, bohaterowie, którzy nie chcieli opuścić swoich wiernych. Należał do nich na przykład ksiądz Władysław Bukowiński, który pozostał we wdzięcznej pamięci starszych mieszkańców Kazachstanu.

Kiedy na stepie powiało wolnością, w każdej wsi powstawał kościół. Zazwyczaj ze składek pochodzących od wiernych wykupywano dom mieszkalny i przystosowywano go do potrzeb sakralnych. Bywało i tak, że mieszkańcy sami zabrali się do budowy świątyni. Udało się ją zbudować i całkiem ładnie wykończyć w Kamyszence, z czego mieszkańcy tej wsi są dumni do dziś. W tej sytuacji Kamyszenka została centrum całkiem okazałej parafii i siedzibą proboszcza. Na placu kościelnym parafianie postawili obelisk, upamiętniający ofiary stalinizmu. Tę polską wieś represje dotknęły w sposób szczególny. Stalina nie zadowoliła sama decyzja o wywózce Polaków do Kazachstanu połączona z ofiarami tych, którzy tej podróży nie przetrwali. Represje kontynuowano na miejscu wysiedlenia. Wybierano mężczyzn, często ojców maleńkich dzieci i rozstrzeliwano. Na obelisku zapisano kilkadziesiąt nazwisk rozstrzelanych mężczyzn i jednej kobiety. Każda z pobliskich wsi miała taką niezagojoną ranę. Podobne pomniki stoją w Łozowoje i Pierwomajce. Lecz o tym wszystkim nie wiedziałam jeszcze, idąc do kościoła w Pierwomajce. Sama z pewnością nie rozpoznałabym tej „świątyni”. Przyjechałam z kraju niebotycznych kościelnych wież, a przed sobą miałam niską wiejską chatkę. Ponieważ przez te kilka dni pobytu w Kazachstanie nauczyłam się niemal nieustannie dziwić, więc i tym razem stanęłam zadziwiona widokiem nietypowego Domu Bożego. Weszłam do przestronnej izby przekształconej w kościół. Czysto i ciepło, bo przy wejściu w kuchennym piecu, pod blachą buzował wesoło ogień. Ściany, pomalowane na jasno-niebieski kolor, dawały wrażenie przytulności i swojskości. Oprócz tego pomieszczenia były tam jeszcze dwa inne: zakrystia oraz „pokój gościnny”, w którym odbywały się „czajpicia” z okazji świąt religijnych czy prywatnych.

Na miejscu zastałam grupę starszych kobiet i kilku mężczyzn, jak się później okazało, stałych bywalców w kościele. Okazjonalnie zjawiali się też inni mieszkańcy Pierwomajki. Najczęściej były to rodziny zmarłych, za których odbywała się msza święta. Rozglądali się wtedy bezradnie, bo często nie mieli pojęcia, jak się zachować. „Gospodarze” instruowali ich wtedy uprzejmie, kiedy mają klęknąć czy zapalić świece. Taka to była specyfika tej małej społeczności kościelnej, która bardzo przypadła mi do serca. W polskich, bogatych kościołach jesteśmy anonimowi, tutaj czułam się jak w rodzinie. Wszyscy byli rozpoznawalni, tworzyli wspólnotę. Czyjaś choroba, dłuższy wyjazd, urodziny stanowiły modlitewne intencje. Ja też zostałam otoczona życzliwością i serdeczną troską. Traktowano mnie ze szczególną atencją i widziano we mnie autorytet w sprawach kościelnych. Bywało, że musiałam rozstrzygać, czy w danym momencie nabożeństwa należy stać czy klęczeć lub jak prawidłowo śpiewać daną pieśń. Naprawdę czułam się ważna!

Kiedy w kolejnych latach wyjazd do Kazachstanu opóźniał się z powodu trudności z otrzymaniem wizy, Kościół pierwomajski modlił się długo i wytrwale w intencji mojego przyjazdu.

W każdą niedzielę kościół zapełniał się tymi wiernymi godzinę przed nabożeństwem i modlono się tylko po polsku, w sposób ustalony już od lat. Ze wzruszeniem słuchałam starych polskich modlitw zapisanych w pożółkłych zeszytach, często cyrylicą.

Jednak sama msza święta łącznie z kazaniem prowadzona była w języku rosyjskim, chociaż odprawiali je przeważnie duchowni z Polski. Takie było zalecenie hierarchów, a z hierarchią się nie dyskutuje. Niestety.

Tu, w kościele, poznałam panią Stasię Gołowską, drobną staruszkę, o której będzie jeszcze mowa w tych wspomnieniach. Zajmowała ona wyjątkową pozycję w kościelnej grupce, co rzucało się w oczy od razu. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że jest szczególnie zasłużona dla polskiego środowiska w Pierwomajce. Właśnie u niej mieszkali przez wiele lat nauczyciele przyjeżdżający z Polski, do czasu gdy kupiono budynek przeznaczony na Polski Dom. Pani Stasia nie tylko zapewniała im dach nad głową, również karmiła, otaczała swoją kobiecą opieką (byli to dotąd tylko mężczyźni), zносиła tłumy interesantów, różne humory i wybryki swoich lokatorów, bo byli to często ludzie z dużym temperamentem.



Maria Musiał i Stanisława Gołowska

Okolica i mieszkańcy

Niedzielne popołudnie przeznaczyłam na zwiedzanie Pierwomajki i okolicy. Wieś była duża, przestronna, z szerokimi ulicami. Domy niskie, najczęściej białe z otaczającymi je, przeważnie zaniedbanymi obszernymi podwórzami. Mnóstwo ptactwa w zagrodach, kopy słomy czy siana, przechadzające się krowy, barany i konie. Ale zauważyłam też zagrody bardzo czyste, z ładnymi ogródkami pełnymi kwiatów.

Ruszyłam nad Iszym. Ten właśnie Iszym, o którym tyle czytałam. Jakież to niespodzianki sprawia nam czasem los! Chciałam, jak najszybciej zobaczyć tę rzekę i koniecznie step z „szumiącymi trawami”.

Szybko się okazało, że nie ma szumiących traw! Nie ma żadnej trawy! Step otaczający Pierwomajkę to zdeptana, prawie goła ziemia z mnóstwem porozrzucanych śmieci i panoszącego się wszędzie piołunu. Brzegi pięknie wijącego się, spokojnie płynącego Iszemu zdeptane zostały kopytami zwierząt. Step został zniszczony przez człowieka! Widziałam to wszędzie, gdziekolwiek potem byłam. Setki tysięcy hektarów zorano pod uprawę pszenicy, reszta spustoszona została przez stada hodowanego bydła i koni.

Dziewiczy, piękny step pozostał tylko we wspomnieniach najstarszych. Szkoda, wielka szkoda!

W Kazachstanie nie szanuje się środowiska, nie szanuje się przyrody, a zwierzęta traktowane są często okrutnie. Nieograniczone żadnymi przepisami polowania i kłusownictwo sięgają spustoszenia wśród dzikich zwierząt i ptaków. Ale o tym dowiedziałam się znacznie później. Natomiast już na początku pobytu usłyszałam od pani Niny, że mieszkańcy Pierwomajki to międzynarodowy tygiel w przeciwieństwie do prawie całkowicie polskiej Kamyszenki. W Pierwomajce mieszkają Polacy, Ingusze, Czeczeni, Ukraińcy, Białorusini, Tatarzy, Niemcy. Tych ostatnich jest już niewiele, bo wszyscy, którzy wyrazili taką wolę, zostali „hurtem” zabrani do Niemiec na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku.

Byli też Rosjanie. Większość z nich przyjechała tu z różnych zakątków Związku Radzieckiego w latach pięćdziesiątych, kiedy zaczynała się „celina”, czyli zaorywanie stepu kazachstańskiego, aby uprawiać na jego żyznej ziemi pszenicę. Towarzyszył temu propagandowy huk w radzieckim stylu. Władze rzuciły do Kazachstanu mnóstwo środków finansowych i cały możliwy park maszynowy. Wszystko dla chleba, dla człowieka radzieckiego! Wśród powszechnej powojennej biedy Kazachstan stał się miejscem dobrobytu. Oczywiście, według ówczesnych standardów. Zjeżdżali

więc chłopcy z Rosji, Białorusi, Ukrainy. Zaorywali miliony hektarów dziewiczej ziemi, siali pszenicę. I tak zniszczono kazachstański step.

Teraz, kiedy już można było otwarcie mówić o religii, przedstawiciel każdej nacji utożsamiał się ze swoją narodową, chociaż niewiele o niej wiedział. I tak Rosjanie uważali się za prawosławnych, mimo że najczęściej nie widzieli cerkwi na oczy. Ingusze, Czeczeni, Kazachowie to muzułmanie, ale w meczecie nie byli nigdy. Polacy to katolicy, choć w kościele bywała tylko garstka najstarszych. Całe to towarzystwo nie grzeszyło pobożnością. Święta religijne czczono (a jakże!) suto zastawionym stołem i obfitym strumieniem gorzałki.

Największymi, wspólnymi świętami wszystkich były: Dzień Kobiet, Nowy Rok i Dzień Zwycięstwa obchodzony 9 maja. Co najmniej tydzień przed Dniem Kobiet i tydzień po nim panowie nie trzeźwieli, podobnie było na Nowy Rok, kiedy życie zamierało na wiele dni.

Świętowano często, a szczególny maraton świąteczny zaczynał się od katolickiego Bożego Narodzenia. Potem obchodzono Nowy Rok, następnie prawosławne Boże Narodzenie i prawosławny Nowy Rok. Był jeszcze kazachski nowy rok zwany Nauryzem przypadający na 21 marca, a wtedy już blisko było do Wielkanocy... jednej i drugiej.

Autobusem przez step

Ale wracam znów do pierwszych tygodni mojego pobytu w Pierwomajce. Przeżycia z tego czasu są świeże, choć minęło już kilka dobrych lat. Nie mogę zapomnieć na przykład mojej pierwszej wyprawy do Astany. Autobus do stolicy wyjeżdżał o świcie, a wracał późnym popołudniem. Do tej pory czuję niepewność, wręcz strach, który towarzyszył mi, gdy szłam przez ciemną wieś na domniemany przystanek. Wtedy po raz pierwszy zakosztowałam niezwykłego podróżowania autobusem przez tzw. toczki, czyli kropki – miejsca przeznaczone w 1936 roku dla przesiedleńców. Autobus (czyt. rozpadające się, trzeszczące pudło) jechał więc stepem przez Kamyszenkę, Kamienkę, Rodinę i wyjeżdżał na główną szosę. Pokonywał te 100 km w około 3 godziny.

Fragmentami była jakaś droga, fragmentami jechało się po prostu stepem, zupełnym bezdrożem. Dowcipny kierowca pędził czasami z taką fantazją, że pasażerowie podrzucani byli pod dach autobusu. Przyszło mi tak kiedyś jechać na tylnym siedzeniu, bo przednie miejsca były już zajęte. Przy każdym takim podrzucie mimowolnie wyrywał mi się z głębi trzewi jęk, a pasażerowie jak na komendę odwracali się z widocznym rozbawieniem w moim kierunku,

sprawdzając, czy jeszcze żyję. W końcu ktoś z radosną satysfakcją rzucił mi pytanie, czy kiedyś już tak jechałam.

Ale to nie wszystkie „przyjemności” takiego podróżowania. W zimne dni często pojazd nie był ogrzewany, w upalne natomiast czasami grzał bez miłosierdzia (podobno nie można było wyłączyć ogrzewania). W dodatku przez ogromne szpary w drzwiach dostawał się do środka pył ze stepowych bezdroży i jazda stawała się koszmarem.

Nigdy nie miało się pewności, czy autobus pojedzie, o której dokładnie i którędy. Dla pełnego obrazu tego ekstremalnego podróżowania dodać trzeba, że rozklekotan epojazdy często się psuły. Autobus nagle stawał, kierowca zamierał za kierownicą. Pasażerowie, zwykle mężczyźni, wychodzili na zewnątrz i paląc papierosy, prowadzili spokojne konwersacje, kobiety rozsiadały się wygodniej, szykując do drzemki. Co niecierpliwi, nieobjuczeni tobołkami, udawali się w dalszą drogę na własnych nogach.

Zimą, kiedy zadeło śniegiem, wiosną, kiedy step zamieniał się w bajoro, trzeba było szukać innych możliwości wydostania się z Pierwomajki. Szło się wtedy do szosy oddalonej od wsi jakieś 8 kilometrów. Przy odrobinie szczęścia ktoś podróżującego zabierał po drodze. Droga prowadziła przez Iszym, więc gdy rzeka wylała, i ta ewentualność odpadała.

Z czasem nawet polubiłam te oryginalne podróże przez toczki. Zwłaszcza wiosną jazda przez zieleniący się step prosto w kierunku wyłaniającego się zza horyzontu słońca była zachwycająca. Wschody i zachody słońca na stepie należą do niezapomnianych widoków.

Koniec samotności

Pewnego wieczoru spotkała mnie bardzo miła niespodzianka – zjawił się w Polskim Domu zespół wokalny „Polonia”. Radość była tym większa, że niepisane przywództwo w zespole należało do pani Batrakowej. Należało do zespołu pięć pań w średnim wieku i jeden pan – Jan Sobiecki, obdarzony operowym głosem. Kiedy zjawiłam się w Kazachstanie, śpiewali razem już od ponad dwudziestu lat. Wykonywano repertuar głównie polski – pieśni patriotyczne i piosenki biesiadne. Artyści zjawili się w Pierwomajce z górą pysznego jedzenia, które wylądowało na stole, i zaczęła się pogawędka przerywana śpiewanymi przez moich gości piosenkami polskimi, ukraińskimi, nawet kazachskimi. Te znane śpiewałam razem z nimi. Na koniec wykonano uroczysty Marsz Polonii, oczywiście na stojąco.

To był piękny wieczór i tak bardzo mi potrzebny. Pierwszy znak, że nie będę tkwić w Polskim Domu osamotniona, nikomu niepotrzebna.

Tymczasem powoli się urządziłam – dostawca przywiózł mi 5 ton węgla. Wrzuciłam go pod mój dach, co było ciężką pracą, która zabrała mi kilka dni, ale dałam radę. Miałam też już drewno, byłam przygotowana na zimę. Towarzyszyła tym przygotowaniom ogromna satysfakcja, że sobie poradziłam.



Sąsiedzi

Praca z młodzieżą

Niebawem odwiedził mnie mieszkaniec Kamyszenki, pan Stanisław Ostrowski. Poprosił o prowadzenie lekcji języka polskiego. Nie przyjechał wówczas do nich nauczyciel z Polski, a była tam grupka młodzieży, z którą należało kontynuować naukę języka. Oczywiście zgodziłam się i maszerowałam około 4 kilometrów do Kamyszenki dwa razy w tygodniu. Miałam tam dobrze wyposażony gabinet języka polskiego do swojej dyspozycji, całkiem sporą gromadkę dzieci, w tym

kilkoro młodzieży zamierzającej studiować w Polsce. Dyrektorem była przemiła pani, Rosjanka, żona Polaka. W szkole uczyło kilkoro nauczycieli pochodzenia polskiego i panowała życzliwa atmosfera, w której szybko się odnalazłam.

Dwa razy w tygodniu maszerowałam też do Łozowoje. Dalej niż do Kamyszenki – około 6 km. Droga wysypana drobnym kamieniem, usypana w stepie, prosta jak z bata strzełił. Przejeżdżające samochody wznosiły taki tuman kurzu, że po powrocie wytrzepywałam piasek z odzieży, włosów i butów. Piasek czasami zazgrzytał mi też wzębach.

Byłam jedyną osobą chodzącą tędy na piechotę. Prawie każdy przejeżdżający samochód zatrzymał się i kierowca zapraszał do środka, a ja konsekwentnie odmawiałam. Z prostego powodu

– przeznaczałam godzinę na dojście do szkoły. Gdy zjawiałam się znacznie wcześniej, musiałam czekać na lekcję, a nie bardzo było gdzie. Zamiast siedzieć w szatni, wolałam iść, tym bardziej że taka aktywność bardzo mi odpowiadała.

Ale w Kazachstanie chodzenie nie jest w modzie i moje zachowanie różnie interpretowano: dziwaczka albo się boi. Kiedy wyszło na jaw, kim jest ta dziwaczka, do pani Niny zaczęły docierać zapewnienia, żebym się nie bała, bo nic mi się złego nie stanie.

Nadchodziły andrzejki i postanowiłam zebrać wszystkie moje dzieciaki w Polskim Domu na wspólną zabawę. Ugotowałam polski czerwony barszcz, upiekłam placki ziemniaczane, kupiłam sporo słodyczy, zaplanowałam zabawy i przygotowałam rekwizyty. Goście dopisali ponad moje oczekiwania. Rodzice przywieźli dzieci, których nawet do tej pory na oczy nie widziałam. Polski Dom napełnił się gwarem i śmiechem, bo zabawa była przednia i trwała do późnych godzin wieczornych. Kiedy już wszyscy wyjechali, byłam bardzo zmęczona, ale zadowolona z udanej pierwszej imprezy. Zabrałam się do porządków z postanowieniem, że następnym razem nie będę brać wszystkiego na swoje barki. Ktoś musi mi pomóc.

Zbliżała się zima i wiedziałam, że gdy nadejdzie, dotarcie do Kamyszenki czy Łozowoje może być niemożliwe. Zaglądałam czasami do naszego garażu, w którym stała pocziwa ruska niwa i oglądałam ją z nadzieją, że kiedyś sobie nią pojeżdżę. Opowiadały mi o niej witające mnie kobiety. Dowiedziałam się od nich, że samochód jest niezarejestrowany i są z tym jakieś poważne problemy. Czułam, że sama sobie z tym nie poradzę.

Poruszyłam tę sprawę na spotkaniu nauczycieli w ambasadzie polskiej w Astanie. Właśnie w roku mojego przyjazdu główna siedziba ambasady została przeniesiona z Ałmaty do nowej stolicy. W tym czasie rozpoczął swoją pracę nowy konsul, pan Jabłoński. Jego też poprosiłam

o pomoc. To był strzał w dziesiątkę, bo konsul obiecał zająć się sprawą i słowa dotrzymał. Trwało to jednak jakiś czas – bagatela: półtora roku! Załatwianie spraw urzędowych na Wschodzie wymaga od petenta wielkiej cierpliwości. Przekonałam się o tym niejednym razem.

Tymczasem zbliżało się wielkimi krokami Boże Narodzenie i podjęłam decyzję, by jechać do domu. Myślałam także wówczas o zorganizowaniu wyjazdu dzieciaków z „moich” wiosek do Polski. Myśl szalona, bo teoretycznie nie miałam żadnych możliwości. Nie miałam też pojęcia, od czego zacząć, do kogo się zwrócić. Ale wiedziałam jedno – że muszę spróbować.

Pierwsza zima w Pierwomajce

W Polsce zaczęłam od księdza proboszcza. Pudło! Ale nie zawiedli przyjaciele i rodzina. Dzięki nim spotkałam się z kilkoma radnymi Sejmiku Małopolskiego, którzy bardzo życzliwie potraktowali moją prośbę. Dotarłam też do życzliwych ludzi w warszawskim oddziale Stowarzyszenia „Współ- nota Polska” oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Z jednymi i drugimi ustaliliśmy plan realizacji naszego przedsięwzięcia i wróciłam do mroźnego Kazachstanu.

A tu mrozy chwyciły potężne; nie wierzyłam własnym oczom, patrząc na termometr – 40, 42... a kilka dni potem 48 stopni poniżej zera. Świat za oknem, zdawało się, skamieniał w mroźnej ciszy. Śnieżnobiały śnieg, bezchmurne, ciemnobłękitne niebo i olśniewające słońce. Nagle zamarłam z zachwytu: w powietrzu unosiły się jakieś lśniące drobinki mieniące się w słońcu niczym diamenty. Widok wyjęty żywcem z bajki Disneya!

Tak było przez wszystkie te mroźne dni. Mogłam do woli zachwycać się tymi baśniowymi widokami, bo nikt do mnie nie przychodził i ja nie mogłam maszerować do żadnej z wiosek. Zajęcia w szkole odwołane. Życie zamarło. Tylko z kominów unosiły się większe niż zazwyczaj dymy i biegły prosto do nieba. Mróz trzymał długo, byłam skazana na samotność, ale nie cierpiałam bynajmniej z tego powodu. Na miejscu znajdował się przecież polski księgozbiór, więc miałam świetną okazję, aby wrócić do klasyki. Przeglądałam też uważnie dostępną literaturę metodyczną i każdego dnia sporo czasu poświęcałam na ćwiczenia gry na gitarze. Intuicyjnie czułam, że ta umiejętność bardzo mi się przyda, że będzie moim atutem w pracy z młodzieżą. Takie dni, a nawet tygodnie samotności zdarzać się miały każdej następnej zimy w Pierwomajce. Silne mrozy uniemożliwiały wyjście z domu. Kto nie był zmuszony, nie wychodził, tylko siedział przy piecu.



Droga do Kamyszenki zimą

Już pierwszej zimy wprowadził się do mnie lokator – pies o imieniu Tajson, należący do mojej pani prezes. Sprytny psiak umieścił się w przedpokoju przy kaloryferze i zupełnie nie reagował na moje próby wyproszenia go z domu. I w ten sposób był jedynym psem w Pierwomajce wygrzewającym się w zimie koło pieca. Wszystkie inne nieszczęsne psie stworzenia były skazane na lepsze lub gorsze budy.

Oczywiście, prawie każdego dnia chociaż na chwilkę wpadałam do pani Niny, a w mroźne wieczory wybierałam się do niej na dłużej. Lubiłam te jej opowieści z przeszłości, które dawały mi ogólne pojęcie o losach mieszkających tu ludzi, o heroicznej walce o przetrwanie jej rodziny w czasach stalinowskich. Opowiadała o zagrożeniach ze strony surowej przyrody, o tym, jak mrozy, długotrwałe burany, wylewy Iszymu zbierały śmiertcionośne żniwo.

Kiedy przeminęły wreszcie syberyjskie mrozy, odetchnąłam z ulgą, ale nie na długo.

Pewnego ranka zbudził mnie odgłos wściekłego wiatru. Zawiewało śniegiem tak, że światła nie było widać. No więc, mieliśmy buran, o którym tyle słyszałam. Szalał do późnej nocy. Ranek wstał piękny, słoneczny, zachęcał do pracy. Czekają mnie zwyczajne prace gospodarskie, jak każdego ranka. Czyszczenie pieca, wynoszenie popiołu, przygotowanie węgla, napompowanie wody, grzanie jej na piecu, sprzątanie... W związku z tym i obowiązkami trzeba było wydostać się z domu chociażby po to, aby przynieść drewno z „kładowki”. Jednak nie było to takie proste, bo drzwi nie puszczały. Wydostałam się drzwiami od ganku, które otwierały się do wewnątrz, i zbadalam sytuację. Masy śniegu blokujące główne wejście okazały się zbitą lodową górą! Z jaką siłą musiał uderzać śnieg pędzący z wiatrem! Nie do wiary! Długo trzeba było ostrą siekierą rozbijać lodową zaporę, ale moje wysiłki w końcu zostały uwieńczone sukcesem. Na szczęście.

Pani Rusłana

Któregoś dnia odwiedziła mnie pani Rusłana. Przyszła z mężem, akimem Dębickim, którego poznałam już wcześniej. Okazała się przemiłą, młodą kobietą, z którą, ku mojej radości, mogłam rozmawiać po polsku, bo prawie wszystko rozumiała, a nawet trochę mówiła.

Była świetnie zorientowana w działalności stowarzyszenia, bowiem przed kilku laty współpracowała z moimi poprzednikami – nauczycielami Mariuszem Wychódzkim i Stanisławem Świętkiem. (nauczycielami ORPEG, przyp.red.) Nie były mi obce te nazwiska, niejednokrotnie je tu słyszałam, bo wbiły się mocno w pamięć mieszkańców Pierwomajki. Opowiadała mi o nich pani Nina, opowiadała też mieszkająca w sąsiedztwie lekarka, pani Olga. Snuła opowieść o swojej współpracy z oboma nauczycielami, pokazując mi wiele fotografii i nagrań wideo.

Wspomnień pani Rusłany słuchałam z ogromnym zainteresowaniem i trochę ze smutkiem. Była to opowieść o tworzeniu Polskiego Domu, przebudowie, remontach, urządzaniu poszczególnych pomieszczeń, o ludziach zaangażowanych w działalność stowarzyszenia, imprezach tu odbywanych. Wiedziałam już, jak prężnie działał kiedyś ten polski ośrodek. A ja trafiłam w pustkę i ciszę. Czy uda mi się choć trochę je zapełnić? Wszystko szło z takim oporem...

Jak to dobrze, że w pobliżu była pani Rusłana. Miała wówczas maleńkie dziecko i nie mogła mi pomagać. Ale przecież dzieci szybko rosną!

Pierwsza oficjalna wizyta

Pewnego dnia zapowiedział się z wizytą pan konsul Jabłoński i od tego momentu żyłam w permanentnym stresie. Niewiele jeszcze osiągnęłam w sprawie edukacji. Moi uczniowie w Pierwomajce i Łozowoje uczyli się języka od podstaw, dopiero ich poznawałam. Mogłam na razie liczyć tylko na moją grupkę z Kamyszenki. Liczyłam, że może z nimi uda się coś przygotować na spotkanie z konsulem.

Muszę przyznać, że dni poprzedzające wizytę, były dla mnie niezwykle nerwowe. Codzienne bieganie do Kamyszenki dało mi się szczególnie we znaki. Jakoś jednak udało się zmontować majową uroczystość patriotyczną, a nawet przygotować poloneza! To dopiero było dla mnie wyzwaniem! Natańczyłam się wieczorami sama ze sobą co niemiara. Pokierować grupą tancerzy dla kogoś, kto nigdy nie zajmował się tańcem i choreografią, to zadanie nie byle jakie. Wsparła mnie w przygotowaniach kochana Polonia i mimo wcześniejszych zapewnień, że „już nigdy więcej”, zaprezentowała przed nowym konsulem swoje wokalne możliwości.

Wbrew moim obawom dzień wizyty przedstawiciela polskiej ambasady był niezwykle przyjemny. Pan konsul świetnie wyczuł niezbyt jeszcze ugruntowaną moją pozycję w tym środowisku i stanął na wysokości zadania, za co byłam mu ogromnie wdzięczna. Poczulałam się dużo pewniej.

Wakacje i powrót

Kilka tygodni później leciałam już do Polski. Przetrwiałam rok w Pierwomajce i już nie myślałam o ucieczce z tego miejsca. Postanowiłam pozostać tam na następny rok. No bo jakże zostawić to, co się zaczęło? Tyle emocji, bardzo niekiedy trudnych chwil, ale jednocześnie równie wiele intensywnych wzruszeń wywołujących łzy. Zaczęło się coś dziać w Polskim Domu, zaczęli pojawiać się goście, trwały lekcje języka polskiego, zaczęłam być potrzebna! Ale przede wszystkim udało się zorganizować wyjazd „moich” dzieciaków do Polski. Jechałam do Polski i w Krakowie miałam czekać na ich przyjazd. Miałam poczucie rzetelnego wypełnienia powierzonego mi zadania.

Trzy miesiące wakacji przeminęły bardzo szybko, a większa część z nich pod znakiem Kazachstanu. Towarzyszyłam dzieciakom podczas dwutygodniowego pobytu w Polsce, zbierałam materiały edukacyjne przydatne do pracy, doskonaliłam grę na gitarze. I tak nadszedł czas wyjaz-

du. Wróciłam do Pierwomajki. Jechałam już bez lęku i niepewności do znanego mi miejsca, do życzliwych ludzi, którzy na mnie czekali, z nadziejami i planami na nowy rok pracy. Jeszcze w Polsce odezwała się do mnie nauczycielka skierowana do pracy w Astanie. Już po pierwszym telefonie wiedziałam, że się zaprzyjaźnimy. Czułam, że moje wyprawy do Astany nie będą takie samotne i smutne. I, jak się okazało, moja intuicja i tym razem mnie nie zawiodła.

Po powrocie obeszłam znajome kąty, przywitałam się z panią Niną, która popłakała się z radości na mój widok, i rozpoczęłam pracę. Pierwszy zjawił się Tajson. Wychudły i jakiś zabiedzony, ale witający mnie z radością. Kiedy odwiedzili mnie pierwsi uczniowie, poczułam, że jestem w moim drugim domu. Odtąd przez kilka następnych lat będę taka rozdarta. Nie, to nie tak. Dotąd, po wielu latach czuję, że tam, gdzieś daleko pozostał mój drugi dom.

Działamy kulturalnie i nie tylko...

W drugim roku mojego pobytu w Pierwomajce mam już grupę dorodnej młodzieży, która świetnie prezentuje się w tańcu. Na początek spróbowałam swoich sił znów w polonezie. Miałam już nieco doświadczenia, które skwapliwie wykorzystałam. Potem zabraliśmy się za krakowiaka. Do poloneza uszyliśmy jednakowe, śliczne sukienki. Udało się sprowadzić nowiutkie stroje krakowskie z Polski. No i moje dzieciaki prezentowały się naprawdę bardzo wdzięcznie. Piękni, dorodni chłopcy i urocze, śliczne dziewczyny. Trudno było oderwać od nich oczy.

Po krakowiaku przyszedł czas na szybką koziorajkę i powolnego kujawiaka. Nie wiem, jak oceniłby nasze taneczne dokonania wytrawny choreograf, ale ja pękałam z dumy, patrząc na moich tancerzy.

Rozkwitła też moda na gitarę. Z dnia na dzień przybywało kandydatów na gitarzystów. Był to oczywiście „owczy pęd”, jak to zwykle bywa w gromadzie. A ja, biedna amatorka, musiałam udawać gitarowego mistrza, chociaż nie miałam pojęcia o metodyce w tym zakresie. I niewiele sama umiałam, niestety. Ale zabierałam się już za takie działania, o których wcześniej nie miałam pojęcia, więc podjęłam się również nauki gry na tym instrumencie. Coś jednak z tego wyszło, bo kilka najwytrwalszych dziewczynek dzielnie mi asystowało, akompaniując śpiewanym piosenką, a jedna z nich znacznie mnie w końcu wyprzedziła. Mogliśmy więc już śpiewać, grać i tańczyć.



Moi tancerze w ogrodzie Polskiego Domu

Moje przyjaźnie

Z Bożeną połączyła nas przyjaźń. Wspierałyśmy się nawzajem i odwiedzałyśmy się w miarę naszych możliwości. Każdy mój wypad do Astany to było dla mnie wielkie święto. Mogłam oderwać się na chwilę od pieca, węgla, popiołu, kurzu i popatrzeć na szeroki świat. Wytworzył się nawet miły obrzęd związany z moim jednodniowym pobytem w Astanie. Po szybkim załatwieniu spraw będących celem mojego wypadu, udawałyśmy się z Bożenką do ulubionej ujgurskiej restauracji na smaczny lagman i babskie pogaduszki przy lampce (czasem dwóch) wina. Potem szybko na dworzec autobusowy, by zdążyć na autobus „po toczkach”.

Kiedy wygospodarowałam więcej czasu i zostawałam u Bożenki na noc. Po przyjeździe zastałam wesoło trzaskający pod blachą ogień i ciepły posiłek przygotowany przez panią Ruslanę.

O pani Rusłanie mogłabym pisać długo i tak miałabym niedosyt. Niezwykle ciepła, serdeczna kobieta. Świetnie nam się współpracowało. Przy ogromnej ilości obowiązków zawsze znalazła czas, kiedy trzeba było.

Prócz pani Niny w Pierwomajce miałam jeszcze jedną oddaną duszę – panią Stasię. Dobrą, mądrą, uroczą panią Stasię, która ogromnie wspierała mnie w moich działaniach i była z nami na każdej świątecznej imprezie w Polskim Domu. Odwiedzałam ją tak często, jak tylko mogłam. Ze smutkiem obserwowałam, jak się starzeje i nie radzi sobie z codziennymi obowiązkami. Życie na kazachstańskiej wsi nie jest łatwe, zwłaszcza dla starych ludzi. Szczególnie podczas mroźnej, długiej zimy, kiedy trzeba nosić ciężkie wiadra z węglem, a dom zostaje odcięty od świata kilkumetrowymi zaspami. Nie ma, a przynajmniej nie było w czasie mojego tam pobytu, bieżącej, ciepłej wody i pralek automatycznych. Pani Stasia sama zdawała sobie sprawę ze swojej trudnej sytuacji. Nie miała dzieci, a mąż dawno już zmarł. Powoli dojrzewała do trudnej decyzji opuszczenia domu, który zbudowała razem z mężem i przeniesienia się do domu opieki w Krakowie. Dobrze wiedziałam, jakie to będzie ciężkie.

Na wsparcie mogłam też liczyć ze strony mieszkańców Kamyszenki. Oprócz gromadki dzieciaków i młodzieży zorganizowała się grupa dorosłych uczniów uczęszczających regularnie na lekcje, oczywiście pod przywództwem pani Lusi Mierzejewskiej. Lekcje z nimi były dla mnie prawdziwą przyjemnością, a dla nich chwilą relaksu wśród nawału obowiązków. W sprawach technicznych liczyć mogłam na dwóch panów z Kamyszenki – wspomnianego już pana Stanisława Ostrowskiego i jego przyjaciela, pana Jana.

Wielu przyjaciół i życzliwych, oprócz pana Jabłońskiego, mieliśmy w ambasadzie i witaliśmy ich w Polskim Domu z największą radością. Wiernymi i bardzo kochanymi gośćmi byli państwo Krawczyńscy, Iwonka Wiśniewska, ale najbardziej nasza, pierwomajaska była niezapomniana, kochana przez nas wszystkich, pracująca w konsulacie Marta.

Pożegnania

Ludzkie życie składa się z powitań i pożegnań. Te drugie często napełniają nas smutkiem. Tak też było w Pierwomajce. Kolejno wyjeżdżali moi młodzi uczniowie z Kamyszenki na studia do Polski. Cieszyłam się razem z nimi, bowiem realizowali swoje pragnienia, ale zabolęło pożegnanie pana konsula. Posadził jabłoń w ogrodzie pierwomajskim i wyjechał. Zrobiło nam się smutniej i jakoś samotniej.



Od lewej pani Stasia, pani Lusja, pani Wanda

Niedługo potem pożegnaliśmy Martę, która była naszym wielkim przyjacielem. Pomagała nam w najróżniejszych sprawach, żyła naszymi troskami i radościami. Słowem – żyła naszym życiem. Szczególnie dużo sama jej zawdzięczam.

Następna z kolei była pani Stasia. Podjęła decyzję o wyjeździe do Polski. Towarzyszyłam jej w przygotowaniach. To były jej pożegnania z całym dotychczasowym życiem. Było to dla mnie trudne przeżycie, chociaż pani Stasia znosiła wszystko z podziwu godnym stoicyzmem. Sprzedawała dom, zamykała wszystkie urzędowe sprawy, związane z jej obywatelstwem kazachstańskim,

żegnała swoich przyjaciół, którzy często strasząc, odwozili ją od tej decyzji. Ale najbardziej wzruszyło mnie pożegnanie z bliskimi na cmentarzu, a szczególnie z mężem, nad którego grobem stała długo i głośno mu tłumaczyła, dlaczego go opuszcza. Pani Stasia poleciała wraz ze mną do Polski i zamieszkała w domu opieki w Krakowie.

Wreszcie i ja sama doszłam do wniosku, że czas kończyć po pięciu latach moją kazachstańską przygodę. W ostatnim roku mojej pracy powoli zamykałam działalność, a ostatecznie pożegnałam się ze wszystkimi na ostatniej majówce. Wiedziałam, że zostaną na zawsze w moim sercu panie z kościoła, pani Lusja Mierzejewska, pani Nina i wiele, wiele innych osób, z którymi spotykałam się każdego dnia.

Pożegnałam moje wierne uczennice z Pierwomajki, Walentyne, Janinę, Angelinę, na które zawsze mogłam liczyć. Do moich najukochańszych uczniów, z którymi musiałam się pożegnać, należała Tamiła, mała, drobniutka Kazaszka. Nie opuściła żadnych zajęć. Nie przeszkadzał jej ani mróz, ani zawieja. Robiła największe postępy w nauce języka polskiego, uczyła się na pamięć polskich wierszy, śpiewała polskie piosenki. Pokochałyśmy się wzajemnie i trudno było się rozstać. W moim bocheńskim pokoju wisi kazachska laleczka o imieniu Tamiłka. Czasem w marzeniach widzę ją studiującą w Polsce.

Moje wspomnienia nie byłyby kompletne, gdybym nie wspomniała o tym, że jeden z Polaków z Kamyszenki, który wcześniej repatriował się do Polski, został moim mężem. Ślub wzięliśmy w moim kościele parafialnym, ale w Polskim Domu odbyło się nasze przyjęcie weselne wśród rodziny mojego męża Jana i wspólnych przyjaciół. W ten sposób Kazachstan wkroczył na stałe do mojego życia.

Już tu, w Polsce, witaliśmy pana Ostrowskiego i jego żonę, którzy zamieszkali tak, jak pani Stasia, w Krakowie.

Kilku znajomych z zaprzyjaźnionych rodzin repatriowało się po moim wyjeździe. Utrzymujemy z nimi kontakt i interesujemy się ich losem.

Nie ma już pani Niny, która spoczęła na cmentarzu w Pierwomajce. Miesiąc przed swoją upragnioną repatriacją do Polski odeszła pani Lusja Mierzejewska i została pochowana w Kamyszence. Nie odeszły na zawsze, są moim wspomnieniem.

Bo Kazachstanu się nie zapomina. Była to największa przygoda mojego życia i gorąco dziękuję Bogu, że ofiarował mi ten dar.